

Muzyk z orkiestry obozowej w Auschwitz

5 lutego 2018

Czytając doniesienia polskiej prasy z ubiegłego weekendu, najpierw nie dowierzaliśmy, potem czytaliśmy w oryginalnych źródłach: „Harretz” i „Jeruzalem Post” i nie mogliśmy uwierzyć, że można aż tak zakłamywać historię i robić to dla bliżej niesprecyzowanego celu. Konkretnie mamy na myśli wypowiedź członka Knesetu izraelskiego Pana Ja'ira Lapida. Naszym zdaniem w całej tej awanturze chodzi oto, że my Polacy w końcu próbujemy zmieniać globalną narrację historyczną, w której Polska ma z góry przypisaną rolę narodu współwinnego Holocaustowi. To dlatego naszym zdaniem Izrael wywołał taką histerię, nie pozwalając nam na taki ruch. Wywołalibyśmy takim ruchem lawinę, którą trudno byłoby powstrzymać.

Faktem, jest również to, że Polska nie posiada żadnych narzędzi do realizacji polityki historycznej na świecie. Nie posiada systemu strategicznej komunikacji, to znaczy, że jakkolwiek polski przekaz ma charakter lokalny, nie posiada mediów anglojęzycznych, anglojęzycznej bazy eksperckiej ani propolskiego lobbingu w strategicznych dla Polski krajach. To, że my sobie pogadamy po polsku w internecie nie zmienia absolutnie nic w globalnej narracji historycznej. To, że polskie media zrobią wywiad z kolejnym polskim politykiem też nie zmieni tej narracji. Co ją zmieni? Przetłumaczenie ustawy na język angielski i upublicznienie jej w mediach zachodnich. To zmieni tę narrację. Zrobienie anglojęzycznego clipu takiego jak „Niezwyciężeni”, nie mówiąc o produkcjach fabularnych. Pilecki, Karski, Irena Sendler i rodzina Ulmów zmieniają taką narrację. Zmieni ją propolska, profesjonalna i transparentna fundacja działająca w USA, promująca propolski lobbing i propolską narrację historyczną. Piszemy o tym od kilku lat bez rezultatu. Mamy nadzieję, że Instytut Pamięci Narodowej uruchomi wkrótce program dokumentowania relacji świadków

wszystkich zbrodni z okresu II wojny światowej i okresu komunizmu popełnionych na obywatelach polskich. Temu właśnie przyświeca idea naszego artykułu. Czas, aby opowiadać historię w sposób obiektywny w oparciu o metody naukowe, statystykę, badania i równe traktowanie wszystkich ofiar. Wszystkie ofiary mają prawo do pamięci o nich.

Pan Rudolf Danel 15 września 2015 roku skończył 100 lat. Mieszka w domu seniora w Chicago. Chodzi z pomocą laski, trochę wolniej. Musi skupić się, aby umiejscowić w czasie niektóre fakty ze swego pełnego tragicznych, ale i szczęśliwych wydarzeń życia. Urodził się w czasie trwającej jeszcze pierwszej wojny światowej w niewielkiej wiosce Łazy Księżę niedaleko Bielska. Prawie wszyscy mówili tam po niemiecku i byli poddanymi cesarza Austro-Węgier. On sam wtedy nie bardzo wiedział kim jest. Rodzice byli zdecydowanie obywatelami Austrii. Na Śląsku znaleźli miejsce na swoje życie. Prowadzili piekarnię i żyli obok wielkich dziejowych wstrząsów. Gdy matka umarła miał 10 lat. Ojciec szybko znalazł sobie nową towarzyszkę i przestał interesować się swoimi dziećmi. Opiekę nad rodzeństwem przejęła najstarsza siostra, która w tym czasie pracowała w urzędach administracji i miała rozliczne powiązania z ludźmi mającymi wpływ na życie miejscowej społeczności. Gdy po odzyskaniu niepodległości na Śląsk wróciła Polska, Rudolf chodził do polskiej szkoły, ale doskonale mówił zarówno po polsku jak i po niemiecku. Miał wielu polskich kolegów. Jako chłopiec przyglądał się raz maszerującej orkiestrze i spróbował zatrąbić na trąbce, którą dla zabawy pokazał mu trębacz, członek owej orkiestry. Zauważył to dyrektor miejscowej szkoły muzycznej, obejrzał ręce Rudolfa i zaprosił go do grona uczniów. Rudolf zaczął grać początkowo na skrzypcach, a potem na altówce i oczywiście na trąbce. Ukończył gimnazjum i poszedł odbyć obowiązkową służbę w Wojsku Polskim. W tymże wojsku zastał go wrzesień 1939 roku. Kampania wojenna skończyła się szybko i razem z całym oddziałem dostał się do niemieckiej niewoli. Uważa, że miał w życiu dużo szczęścia. Takim szczęśliwym trafem była

chwila, gdy kolumna jeńców, w której się znalazł, szła drogą na zachód, wiodącą z Bielska do Cieszyna. W Cieszynie zobaczył wśród stojących na ulicy swoją siostrę Jadwigę. Ona też go dostrzegła w kolumnie. Za dwa dni został z niewoli zwolniony. Zaczął pracować i dzięki siostrze, nikt z władz nie interesował się jego przeszłością.

Tereny Śląska, na mocy rozporządzeń władz okupacyjnych, zostały włączone do Rzeszy i Niemcy uważali Rudolfa za swojego obywatela. Wśród Polaków szybko zaczął się organizować podziemny ruch oporu. Rudolf był dokładnie we wszystko wtajemniczony i bardzo przydatny w działalności konspiracyjnej. Pamięta, że jego konspiracyjnym dowódcą był Adam Gaś. Wkrótce Gaś został aresztowany. Trudno powiedzieć, czy nie wytrzymał tortur, czy był niemieckim agentem. Po jego zeznaniach bardzo dużo członków ruchu oporu zostało aresztowanych. Aresztowano również Rudolfa. Oskarżono go o to, że wiedział i nie powiadomił władz niemieckich o przestępczej działalności Polaków. Został osadzony w areszcie, a w kwietniu 1942 roku w sądzie w Katowicach odbyła się rozprawa, w której oskarżono go o zdradę stanu. Za takie przestępstwo groziła nawet kara śmierci. Jakimiś sobie tylko znanymi drogami siostra Jadwiga wystarała się o adwokata, dzięki któremu sprawa zakończyła się skazaniem na pięć lat więzienia. Wszyscy byli pewni, że takiego wyroku nie będzie musiał odsiadywać. Mijał już rok 1942 i Niemcy byli zaangażowani na froncie wschodnim. Rudolf jako Niemiec, ich zdaniem, powinien służyć w Wehrmachcie, albo w inny sposób pracować dla Rzeszy.

W 1940 roku na terenach Oświęcimia i pobliskiej wioski Brzezinka, które znalazły się administracyjnie w Rzeszy, zaczęto budować obóz przeznaczony początkowo dla osadzania więźniów politycznych i opozycji, głównie Polaków.

Pierwsza grupa 30 więźniów niemieckich stanowiła początek funkcyjnej kadry obozowej jako kapo i blokowi. Pierwszy masowy transport do Auschwitz odbył się 14 czerwca 1940 roku. Przywieziono wtedy wagonami kolejowymi drugiej klasy z

więzienia w Tarnowie 728 więźniów politycznych – byli to Polacy oraz kilku polskich Żydów. Otrzymali oni numery od 31 do 758.

Więźniowie ciężko pracowali przy rozbudowie obozu. Do 22 bloków dobudowano ich siłami kolejnych osiem, a do bloków parterowych piętro. Wokół obozu utworzono mały i duży łańcuch straży oraz wyludniony obejmujący 40 km² obszar interesów obozu. Więźniowie byli podzieleni na grupy, czyli komanda i wykonywali wszystkie prace potrzebne do obsługi i rozbudowy obozu. Obóz funkcjonował jak fabryka. Były stanowiska dla zarządzających i dla administracji. Przybywających witał wykuty w obozowej kuźni słynny napis „Arbeit Macht Frei.” Trzeba te słowa rozumieć jako wolność przez śmierć, bo praca w obozie była zabójcza. Głód i zimno wyniszczały więźniów, powodując ich szybką śmierć, ale o to przecież chodziło, bo nowi więźniowie płynęli z całej Europy szerokim strumieniem.

W grudniu 1940 roku kilku polskim więźniom przyszedł do głowy pomysł założenia orkiestry jako sposobu na przetrwanie. W obozie przebywał sierżant 20 Pułku Piechoty Krakowskiej -Antoś Gargul. Zgłosił się do raportu z pomysłem, aby pozwolono mu sprowadzić kilka instrumentów, na których mógłby grać marsze. Na słowo marsze Niemcy stawali na baczność, więc dostał pozwolenie, a oni kpili z niego, że może sobie przed śmiercią podmuchać w trąbkę. Orkiestra zaczęła się od siedmiu muzyków. Grali na skrzypcach, kontrabasie, trąbce, akordeonie, perkusji. Brak było instrumentów, więc często były one rekwirowane okolicznym grajkom. Perkusję przywieziono nawet z czeskiego teatru narodowego z Pragi. Orkiestra miała swoją salę prób w piwnicach bloku 24. Po raz pierwszy zagrała w święto Trzech Króli w 1941 roku. Wkrótce rozrosła się do około stuosobowej grupy, z której siedemdziesięciu jeden muzyków stanowiło orkiestrę symfoniczną, a pozostałe trzydzieści – dętą. W takim momencie Pan Rudolf „wyjechał” z katowickiego więzienia do Auschwitz. Tak wspomina tamten czas:

„Krótko po rozprawie ja i jeszcze dwaj więźniowie, w asyście

dwóch esesmanów, zostaliśmy przewiezieni do Auschwitz. Zobaczyłem grających wychodzącym do pracy komandom muzyków, a wśród nich znajomego ze szkoły muzycznej. Starałem się po apelu jakoś do niego zagadać, a on skierował mnie do kapelmistrza.

Pierwszym kapelmistrzem orkiestry obozowej w Auschwitz był Franciszek Nierychło. Przed wojną był wykonawcą sekcji muzycznej rozgłośni radiowej w Krakowie. Grał na oboju. Do obozu dostał się zaraz po klęsce w 1939 roku. Sam nie był zdecydowany, czy jest Niemcem czy Polakiem. Pamiętam, że był silnym mężczyzną i dobrze odżywionym więźniem. Miał szanse, bo był kapo w obozowej kuchni. Przesłuchiwał mnie i powiedział, że mógłbym grać, szczególnie na altówce, ale nie ma dla mnie instrumentów. Wtedy znowu bezcenną okazała się pomoc mojej siostry Jadwigi, z którą szybko nawiązałem kontakt, i która przysłała mi do obozu altówkę i trąbkę. Odtąd moja szansa na przetrwanie wydłużyła się. Wszyscy bardzo chcieliśmy żyć, mieliśmy przecież jeszcze tak mało lat. Była w obozie niepisana umowa, że członkowie orkiestry nie chodzili do pracy poza obozem, a to znaczyło, że pracowali w obozowej kuchni, w magazynach z odzieżą, pod dachem, nie marzli i dzięki kapelmistrzowi – kapo kuchni, mieli więcej zupy.

Orkiestra często grywała przed blokiem (gdzie odbywały się próby) dla więźniów, a zimą, ponieważ instrumenty marzły, grała w piwnicy przy otwartych oknach. Graliśmy przede wszystkim marsze dla więźniów wychodzącym do pracy i wracającym z pracy. Było to przeważnie cztery razy dziennie. Rano, gdy wszystkie komanda wychodziły do pracy poza obozem, w południe, gdy niektóre wracały i potem znowu wychodziły i wieczorem, gdy wszystkie wracały. Marsze miały pomóc utrzymać rytm wśród maszerujących więźniów i przyspieszyć opuszczanie obozu choćby o kilka minut. Graliśmy marsze polskie, niemieckie, francuskie, amerykańskie, a kolejni kapelmistrzowie – Nierychło, a potem Kopyciński, skomponowali własne utwory. Podczas prób niektórzy esesmani stawali w rogu

sali przyglądali się grającym i słuchali. Widocznie lubili muzykę. Były też koncerty specjalne. Często orkiestra grała dla niemieckich władz obozu i ich rodzin. Przychodziły żony funkcjonariuszy obozowych z dziećmi. Zaczynaliśmy wtedy utworem „Eine kleine Nachtmusik”, a potem graliśmy utwory klasyczne. Zastanawiałem się, co wtedy matki mogły powiedzieć swoim dzieciom, jak wytłumaczyły im, że muzycy byli tak dziwnie ubrani, tak dziwnie wyglądali w tych pasiakach, a tak pięknie grali. To było niepojęte, że obok siebie funkcjonowały dwa różne światy... Wracające wieczorem komanda potykając się w rytm radosnych marszów, niosły kilkunastu umarłych, a za murem młode matki śpiewały swoim dzieciom kołysanki. Niektórzy więźniowie nie lubili orkiestry. Mówili, że to był szatański pomysł, żeby grać w cieniu dymiących krematoriów. Pamiętam mdły zapach palonych ciał. Niektórzy nie wytrzymywali tej atmosfery i „szli na druty”, ale ja wierzyłem, orkiestra dawała strzęp nadziei na przetrwanie, a może z nią umierać było piękniej...?

Franz Nierychło został zwolniony w 1944 roku, kiedy podpisał listę Volksdeutscha i na ochotnika zgłosił się do Wehrmachtu. Gdy odchodził, 20 tysięcy ludzi gwizdało. Wszyscy gwizdali. Może mieli mu za złe, że poszedł do niemieckiego wojska...? Dziwny to był człowiek. Wielu Polakom pomógł, odkarmił, a potem do Wehrmachtu...” Pan Rudolf zamyśla się i dodaje „tak, kacet zmieniał ludzi. Nie do poznania zmieniał.” Po chwili odpoczynku albo może psychicznej refleksji opowiada dalej.

„Po odejściu Franza, kapelmistrzem został Adam Kopyciński. Charakter orkiestry zmienił się trochę. Czasem grywaliśmy dla siebie, w ukryciu albo dla więźniów z poszczególnych bloków z różnych okazji, między innymi w dniach polskich świąt narodowych. Wtedy Adam Kopyciński grał na fortepianie rzewne polskie piosenki, a niejeden z nas ukradkiem ocierał łzy. Ta muzyka była wyłącznie nasza i dawała nam nadzieję na jutro, a przecież przeżyć jeszcze jeden dzień, to była wielka sprawa, bo jutro mogła skończyć się wojna, mogliśmy wyjść poza druty.

Od września 1944 roku zaczęły się marsze śmierci. Organizowano duże grupy silnych jeszcze fizycznie więźniów i kierowano je na zachód, do pracy w zakładach zbrojeniowych. Do przejścia było 20 – 30 km. dziennie. Wielu uczestników tych marszów zmarło z wycieńczenia, ale wielu, korzystając ze specyficznych warunków, uciekło. Ja byłem w grupie zimą 45 roku. Szliśmy, śłaniailiśmy się, spaliśmy po kilka godzin, gdzie się dało, zostawialiśmy po drodze umarłych i szliśmy. Dziś nie mogę sobie wytłumaczyć, ile człowiek może wytrzymać i jaka jest w nim chęć życia. Pamiętam, że koniec wojny zastał nas niedaleko Monachium 3 maja 1945 roku. Dla mnie był to szczególnie dziwny zbieg okoliczności. Po pobycie w obozie przejściowym, znalazłem się w Ameryce. Tu założyłem rodzinę i tutaj dożywam swoich dni”.

Rudolf zdołał ocalić z kacetu swoje instrumenty, które do dziś przechowuje pieczołowicie owinięte w miękką flanelę. Futerały, już prawie zmurszałe, rozsypują się, ale trąbka ciągle dźwięcznie brzmi, a altówka nastrojona płacze rzewnie. W tych instrumentach ukryta jest historia nie tylko jednego człowieka – ich właściciela – trębacza i altowiolinisty, więźnia numer 125 792, Austriaka z urodzenia, a Polaka z wyboru. Ukryta jest część poplątanej, bardzo tragicznej historii narodu polskiego.

Autorstwo: Katarzyna Murawska z Wisconsin (murakatel@yahoo.com) i Waldemar Biniecki z Kansas (biniecki@gmail.com)

Źródło: DziennikBerlinski.pl